

Na 10 minut przed końcem zajęć Zołza otworzyła dziennik, położyła na nim nasze testy z Historii i złożywszy dłonie w piramidkę na wysokości twarzy, oparła łokcie o blat biurka. W ułamku sekundy w klasie zapanowała absolutna cisza, a atmosfera zgęstniała na tyle, że można ją było kroić nożem. Korzystając z okazji, że Czarnecka zajęła się tłumaczeniem nam punktacji, oparłem lewy łokieć o parapet. Wsparłem policzek na wierzchu dłoni, wyglądając przez okno. Stłumiony odgłos betoniarki, pracującej dwa piętra niżej, totalnie pochłonął moje myśli. Robotnicy kładli właśnie kostkę na szkolnym boisku, nic sobie nie robiąc z tego, że w klasie numer 23 rozgrywał się dramat.

– Mam dla Państwa dwie, złe wiadomości. Pierwsza z nich to Państwa oceny z ubiegłotygodniowego testu, a druga: Państwa oceny końcowe... – przemówiła swoim oficjalnym tonem Czarnecka.

Zauważyłem kątem oka, jak przesuwając swe przenikliwe spojrzenie po twarzach wszystkich uczniów obecnych na zajęciach z wyjątkiem mnie. Przynajmniej na początku wydawało mi się, że pozostanę niezauważony, siedząc bezpiecznie w ostatniej ławce za koksem Baryłą.

W takich dniach jak ten, naprawdę nie rozumiałem Góreckiego, nazywającego się naszym wychowawcą. Osiół bagatelizował każdą kwestię poruszaną przez uczniów pod adresem Czarneckiej. Chociaż nie miała w zwyczaju faworyzować wybitnych uczniów, a o tych z problemami w nauce nigdy nie zdarzyło jej się powiedzieć, że niczego w życiu nie osiągną, to jednak jej przestarzałe metody nauczania oraz wygórowane wymagania, które nam stawiała, przekreślały ją totalnie.

Paryż, z którym trzymałem się od Podstawówki, już w pierwszej klasie, przy każdej możliwej okazji nawiązywał w żartach do materiału z rozszerzonej Historii na Technikum Budowlanym. Górecki musiał być w komitywie z Zołą, skoro, primo: nie rozumiał powagi sytuacji, a secundo: nie ruszały go kolejne jedynki, przy takich nazwiskach jak Wroński, Lasota, Jasiński, Wójcik, Głowacki i...

– ...Kasprzyk. Czy może mi Pan odpowiedzieć na moje pytanie? – zapytała nauczycielka, wprawiając mnie tym samym w stan osłupienia.

Oderwałem wzrok od szyby, a potem od niechcenia przeniosłem spojrzenie w pierwszej kolejności na siedzącego obok i nieziemsko szczerzącego się do mnie Lasotę. Następnie na samą Czarnecką, która wychylając się ze swojego miejsca wierciła mi dziurę w brzuchu schowanymi za okrągłymi okularami, zielonymi oczami.

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym Jasiński śmiejąc się do rozpuku, zleciał z ławki, rozcinając prawy łuk brwiowy. Robiąc przy tym taki hałas, że aż Kozłowska, która akurat z IIC prowadziła ćwiczenia z dysocjacji jonowej w klasie obok, wyjrzała na korytarz, by się zorientować, co tak chlasnęło. Baryła zwałił się na podłogę razem z meblem, na którym siedział. Długo nie potrafiłem zrozumieć, co go tak rozbawiło w nazwaniu Zołzy, Profesor McGonagall.

Wypominał mi ten wypadek przynajmniej trzy semestry, ale ja niestety nic na to nie mogłem poradzić, że kobieta bardzo przypominała z wyglądu Minerwę.

– Przepraszam, czy może Pani powtórzyć?

– Daniel idioto, co Ty do Maćka odwalasz? – rzucił szeptem, rozbawiony moją dezorientacją Lastota.

Nawet Baryła odwrócił się całym swoim wielkim cielskiem w moim kierunku, podpierając się o oparcie krzeselka. Zainteresowanie, które odmalowało się na jego puciołowatej twarzy było współmierne do tłumionego w dłoniach śmiechu Witki, dzielącego z nim ławkę. Przechabawne. Korciło mnie, żeby wystawić im przed nosy środkowy palec, ale miałem serdecznie dość wizyt u dyrektora, jak na jeden tydzień.

Patykowaty Głowacki za żadne skarby nie odpuściłby szansy odwzajemnienia mi się dokładnie tym samym, co skończyłoby się na ostrej wymianie zdań. W najlepszym wypadku. Dopingowany przez Pawła „Baryłę” Jasińskiego, pewnie posunąłby się do rękoczynów.

Dobrali się, jak w korcu maku.

– Pytałam, czy na miesiąc przed wystawieniem ocen, ma Pan zamiar zrobić coś ze swoją nieciekawą sytuacją? – spytała Czarnecka - Poproszę też Pana dzienniczek.

Dopiero wówczas odzyskałem rezon. Sięgając pod ławkę po plecak, przypadkiem trąciłem czołem ramię Lasoty. Klepnął mnie kilka razy przyjacielskim gestem w sam czubek głowy drugą dłonią, nieustannie rechocząc.

Nie miałem złudzeń, że Zołza ma właśnie zamiar poprosić moich rodziców o pilne skontaktowanie się z nią w sprawie moich ocen. Bez zastanowienia wyciągnąłem z torby dzienniczek. Prawdę mówiąc, potrzebowałem go wyłącznie na dwie okazje: na wypadek zwolnienia z WFu i ewentualnego zagrożenia na koniec semestru. Na co dzień nie był mi potrzebny.

- Nie - odpowiedziałem - Ojciec nawet zapytał ostatnio o Panią, bo nie jest pewny, czy powinien wziąć wolne popołudnie. Jeszcze mu się nie chwaliłem, że znów jestem zagrożony. Zresztą, dobrze Pani wie, że koniec końców, zaliczymy w sierpniu kolejną poprawkę... – dodałem bez namysłu.

Właśnie podniosłem się od biurka, gdy przez klasę poniosły się gwizdy kolegów oraz pełne oburzenia głosy koleżanek. Siedzący w pierwszej ławce przy samych drzwiach Wójcio, aż popukał się w czoło, ale siedząca z nim w ławce Dagmara, zdzieliła go w tył głowy. Zawstydzony chłopak odwrócił się szybko przodem do tablicy. A do mnie dotarło wtedy, jak głupio zabrzmiało to, co powiedziałem

– Znaczy egzaminie... Poprawkowym... - zająknąłem się.

- Wroński, to się normalnie posika ze śmiechu, jak mu zara napiszę, co żeś odwalił, buraku – usłyszałem jeszcze za plecami rozbawiony głos Lasoty, gdy zmierzałem w kierunku Zołzy. Jasiński zawtórował mu krótkim: no, no..., które w jego ustach zabrzmiało bardziej jak chrząknięcie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Szarlotka, dodano 30.01.2018 09:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.